

„Historyczność jest jak powietrze”. O badaniach historycznoliterackich z Włodzimierzem Boleckim rozmawiają Żaneta Nalewajk i Tomasz Mackiewicz

Żaneta Nalewajk: W artykule *Czym stała się dziś historia literatury*, opisując modyfikacje dostrzegalne w pracach historycznoliterackich, wyróżnił pan siedem zmian dokonujących się współcześnie. Zaliczył pan do nich: przesunięcie centrum zainteresowań z badania historii na zgłębianie historyczności, ujawnianie podmiotowości w rozprawach historycznoliterackich oraz ich programową fragmentaryczność, tendencję do eseizowania wywodu, rosnące zainteresowanie zjawiskami pogranicznymi, karierę komparatystyki odrzucającej ideę scalania i syntetyzowania na rzecz poszukiwania analogii i mnożenia kontekstów, a także, pojawiające się na skutek zalewu nowych zjawisk artystycznych oraz dynamicznego rozwoju technik gromadzenia i przekazywania informacji, kłopoty z utrzymaniem takich pojęć jak na przykład styl epoki.

Zmiany, które pan wskazał, nie zawsze okazywały się zmianami na lepsze. Słowo „nowy” w tytułach prac naukowych było nierzadko etykietą starych problemów, świadczyło o nieznanomości literatury przedmiotu. Niedostatek refleksji metateoretycznej zaowocował programowo ogłaszanym anarchizmem metodologicznym. Utożsamienie dyskursu naukowego z literackim skutkowało usunięciem z pola widzenia problemu weryfikacji pracy badawczej, porzuceniem przedmiotu badań na rzecz ekspresji „ja” interpretatora. Artykuł, którego tezy streściłam, wygłoszony został piętnaście lat temu (w 1995 roku) na Zjeździe Polonistów. Czy od tamtego czasu sytuacja uległa zmianie, a jeśli tak, to w jaki sposób? Czy któreś z pana rozpoznań wymagają dopowiedzeń?

Włodzimierz Bolecki: Nie wycofałbym się z żadnego z tych stwierdzeń. Rzecz jasna, tamte tezy miały charakter przykładowy i modelowy, pozostawiały wiele miejsca dla kwestii pogranicznych, wyjątków etc. Ale czy sytuacja uległa dziś zmianie? Jeśli tak, to w niewielkim stopniu. Na pewno mógłbym dodać do wcześniejszych rozpoznań jeszcze dwie obserwacje: dziś – bardziej niż w momencie, w którym przygotowywałem tamten artykuł – ceni się badania o charakterze interdyscyplinarnym. W pracach historycznoliterackich, których ambicją jest prowadzenie wyłącznie badań immanentnych, mimo że mogą mieć bardzo wysoki poziom, coraz bardziej widoczna jest konieczność poszerzenia pola badawczego. Interdyscyplinarność rozumiem tu szeroko. Chodzi o badania, na których określenie w języku polskim nie ma dobrego terminu, ale które można by nazwać interdyscyplinowymi. Dzisiejsza humanistyka coraz śmielej przekracza granice tradycyjnych dyscyplin naukowych.

Moje rozpoznania piętnaście lat temu dotyczyły zagadnień metodologicznych oraz praktyk badawczych, a te nie zmieniają się w tak szybkim tempie, jak następujące po sobie mody interpretacyjne czy tematyczne. Mógłbym nawet wzmocnić sformułowane dawniej tezy i powiedzieć, że wszystkie praktyki, które pani przypomniała, należą do warsztatu historyka literatury. Dziś nie trzeba się tłumaczyć z tego, że – po pierwsze – pisze się narracyjną historię literatury (*notabene* kariera narracyjności w naukowej humanistyce to osobne i bardzo interesujące zagadnienie), a po drugie, nie buduje się już wielkich syntez, choć szuka się ujęć przekrojowych. Badacze chętnie przyznają sobie prawo do badań o charakterze fragmentarycznym. To, co kiedyś wydawało się jedynie przejawem ekstrawagancji, dziś jest wyznacznikiem świadomości metodologicznej. W cenie jest metodologia eksponująca ograniczenia naszego poznania. Jej demonstrowanie trąci czasem minoderią, ale na ogół pełni funkcję pozytywną. *Notabene* bezpośrednim źródłem tych ograniczeń były nie tylko koncepcje filozoficzne, lecz także typowy dla prozy modernistycznej XX wieku ograniczony zakres wiedzy narratora – w czym wielu badaczy widziało znak nowoczesności. Był to sprzeciw wobec koncepcji humanistyki opartej na niepodważalnych pewnikach, doktrynerskich interpretacjach, a przede wszystkim – na przekonaniu, że historyk kopiuje rzeczywistość i zachodzące w niej procesy. Dziś do wiedzy potocznej należy już chyba przekonanie, że w badaniach historycznych (tu historycznoliterackich) oraz we wszystkich naukach humanistycznych podstawową operacją poznawczą jest konstruowanie przedmiotu badań (i jego re-konstrukcja). Historyk literatury, świadom swojego rzemiosła, wie, że konstruuje obraz przeszłości, a nie opisuje przeszłość jako fakt dany mu w dokumentach, skończony i zamknięty. Im lepiej badacz potrafi wytłumaczyć się z własnych procedur, tym większe możemy mieć zaufanie do uzyskanych przez niego rezultatów poznawczych. Bywa jednak i tak, że badacz nie jest w stanie wyjaśnić, jakimi narzędziami się posługuje i jaki jest ich związek z efektami poznawczymi jego pracy. To już nie jest świadomość ograniczeń poznawczych (zawsze pozytywna), ale niedostatek kompetencji.

Żaneta Nalewajk: Opisana sytuacja związana z pozytywnie rozumianym wzrostem świadomości badaczy na temat ograniczeń epistemologicznych może mieć jednak drugi biegun, którego istnienie za chwilę postaram się zasygnalizować w pytaniu. Współczesne dyskusje na temat historii literatury, o czym pan wspominał, są pokłosiem poststrukturalistycznej, narratystycznej i konstruktywistycznej krytyki wymierzonej w obiektywistycznie ujmowaną historiografię. Przedmiotem ataku stało się esencjalne rozumienie historii. Przekonanie o potrzebie rekonstruowania i reprezentowania faktów oraz relacji przyczynowo-skutkowych zachodzących pomiędzy nimi zostało podane w wątpliwość. Impuls krytyczny płynął także ze strony filozofów nauki. Przykładem tego mogą być przekonania Karla Poppera, który uznał historycyzm o heglowskim rodowodzie – rozumiany jako wykrywanie koniecznych, celowych, a zatem rozumnych praw rozwoju historii – za koncepcję nienaukową, czyli niemożliwą do sfalsyfikowania, bo opartą na metafizycznych przesłankach. Czy ta krytyka – bardzo potrzebna, ukazująca ograniczenia warsztatu i wszystkie niebezpieczeństwa, które mogą czyhać na historyków

literatury – zawsze okazywała się dla nich konstruktywna i owocowała przyrostem wiedzy na temat samych dziejów zjawisk literackich, czy też może przynosiła paradoksalne skutki i wydatnie przyczyniała się do utraty zainteresowania badaczy źródłami i przesunięcia punktu ciężkości z badania przemian zachodzących w literaturze na opisywanie ograniczeń historycznoliterackiego opisu? Czy współcześnie można mówić o żywotności tendencji sprzyjających, by ująć rzecz metaforycznie, „utracie źródła”?

Włodzimierz Bolecki: Na pewno powstała luka pomiędzy interpretacjami i tezami teoretycznymi w obrębie badań nad literaturą dwudziestego (i częściowo dziewiętnastego) wieku a badaniami nad literaturą epok wcześniejszych. Jednym z intelektualnych źródeł wskazanej przez panią sytuacji była nadinterpretacja koncepcji Nietzschego zawierającej krytykę historyzmu. Mówiła pani o koncepcjach Poppera – te, jak sądzę, były mniej popularne i rzadziej przywoływane w środowisku literaturoznawczym niż stwierdzenia autora tekstu *O pożytkach i szkodliwości historii dla życia*. Ta krytyka historii, z której czerpią do dziś ważne nurty dwudziestowiecznej humanistyki, jak choćby psychoanaliza czy studia kulturowe, sprawiła, że wspomniane kierunki zaczęła łączyć tendencja do deprecjacji historyczności przy równoczesnym wyjęciu ze strumienia czasu kategorii uniwersalnych, umownie rzecz ujmując, antropologicznych. W tych badaniach najstäbszym ogniwem okazał się status źródła, dokumentu czy tekstu, chociaż pojęcie tekstu należy dziś niewątpliwie do najpopularniejszych. Być może wiąże się to z tym, że wspomniane tendencje wywodzą się z badań o charakterze filozoficznym, psychologicznym czy kognitywnym, ale nie filologicznym (no i nie z badań historycznych). Natomiast dla historyka literatury podstawami badań są źródła, dokumenty, teksty. W literaturoznawstwie powstała paradoksalna opozycja pomiędzy wiedzą o interpretacji a wiedzą o źródłach. Pojęcie „krytyki źródeł” jest dziś znane chyba tylko edytorom (filologom), ale nie interpretatorom i teoretykom literatury współczesnej (historyków dziejów tu, rzecz jasna, pomijam). Otóż historycy literatury epok dawniejszych nie mają z tym najmniejszego problemu, ponieważ dla nich poszukiwanie „twardych” jednostek filologicznego opisu to podstawa rzetelnego uprawiania dyscypliny. Z kolei dla wielu badaczy kultury współczesnej problem źródłowości nierzadko schodzi na drugi lub trzeci plan, a czasem w ogóle się nie pojawia. Wiąże się to z antystrukturalistycznymi koncepcjami, które oparte są na przesuwaniu (rozmywaniu) granic tekstu.

Żaneta Nalewajk: W kierunku odbiorcy?

Włodzimierz Bolecki: Tak, chodzi o rozmywanie granic tekstu rozumianego jako skończony i uporządkowany zbiór znaków ukształtowany przez nadawcę (autora). W nowej koncepcji to odbiorca, któremu przysługuje dowolność od-czytania, tworzy tekst – według własnego uznania. Takie przemieszczenie anektuje na użytek pojęcia tekstu wiele zagadnień intertekstualnych, genetycznych oraz różnych asocjacji kulturowych. Okazuje się wówczas, że tekstem nie jest zaplanowany utwór rozumiany jako produkt pracy pisarza, ale wszystkie elementy kultury, które kojarzą nam się z tym utworem. Powstaje wówczas nowa jakość, zamiast tradycyjnego „tekstu” – „mgławica tekstowa”. Uznaje się, że taka „mgławica” to tekst bez granic, ponieważ wszystkie jej składniki są

(to znaczy mogą być) powiązane przez odbiorcę. To fascynująca koncepcja, ale jeśli nie jest ograniczona rygorystycznym metodologicznym (i logicznym), może zamienić się w myślowy kisel. Natomiast w ujęciach semiotyczno-filologicznych granice tekstu są, jak wiemy, koniecznym warunkiem jego wyodrębnienia.

Podsumowując, chciałbym powiedzieć, że zasadniczy problem polega na tym, że w tak zwanym ponowoczesnym literaturoznawstwie interpretacja wzięła górę nad badaniami (choć wyrosła ona z zakwestionowania interpretacji). Wydaje mi się, że to właśnie przekonanie (a może praktyka), zgodnie z którym interpretacja jest podstawowym działaniem poznawczym, a zarazem narzędziem tworzenia przedmiotu interpretacji, doprowadziło do rozmycia granic tekstu. W konsekwencji nastąpiło rozejście się pomiędzy standardami poznania w tak zwanych „twardych naukach” a praktykami specyficznymi dla części nauk humanistycznych (przede wszystkim w literaturoznawstwie). Ten rozdźwięk ma nie tylko charakter metodologiczno-teoretyczny, lecz także wiąże się z podzielanym przez literaturoznawców przekonaniem, że kulturalizm jest całkowicie pozaempiryczny, to znaczy, że wszystko zostało „skonstruowane” przez kulturę, a kultura nie ma granic. Z tej perspektywy odpowiedź na pytanie, które pani zadała, dotyczące „utruty źródła”, będzie twierdząca. Myślę jednak, że problem ma charakter „lokalny” i dotyczy jedynie części badaczy literatury i kultury współczesnej. Nie jest to natomiast bolączka badań historycznych jako takich. Wolne od niego są, jak wspominałem, rozpoznania skoncentrowane na poznawaniu epok dawnych.

Pozostała do omówienia jeszcze jedna kwestia, choć nie mogę jej poświęcić tyle miejsca, na ile zasługuje. Dla rozumienia problemu, o który pani pytała, istotne konsekwencje wynikają z pojawienia się tak zwanych technologii cyfrowych, poszerzających repertuar sposobów tworzenia, przetwarzania, archiwizowania czy wizualizacji tekstu. W obrębie wspomnianych technologii pojęcia takie jak „źródło”, „dokument” czy „kopia” zmieniają swoje znaczenia i odnoszą się do innej rzeczywistości, dlatego nie chciałbym mieszać tych zagadnień z klasycznymi badaniami historycznoliterackimi.

Na koniec warto jeszcze wspomnieć o tym, że dokonana się zmiana w rozumieniu pojęcia filologii. Kiedyś filologia była niekwestionowaną podstawą badań humanistycznych, a zwłaszcza literaturoznawczych (no i hermeneutyki). Od kilku dziesięcioleci – z różnych powodów – przestrzeń aktywności filologicznej w obrębie dyscyplin humanistycznych zaczęła się kurczyć. Wypierają ją badania o charakterze kulturowym, etnograficznym, filozoficznym lub społecznym. Nawet wydziały literatury są przez nie wchłaniane. Tę ekspansję trzeba, rzecz jasna, rozumieć w kontekście przemian cywilizacyjnych, społecznych, historycznych czy ideowych, jednak pozostaje faktem to, że absolwenci wydziałów humanistycznych sprzed pięćdziesięciu lat mieli w trakcie edukacji uniwersyteckiej więcej do czynienia z tekstami, źródłami, dokumentami oraz narzędziami filologicznymi niż współcześni absolwenci podobnych kierunków. Warto zdać sobie sprawę z konsekwencji tych zmian.

Żaneta Nalewajk: Przykładów nie trzeba szukać daleko. Zdarza się przecież, że współcześni adepci wydziału filologicznego, zanim dowiedzą się, na czym polega

trudna sztuka pisania syntezy, słyszą o kryzysie ujęć syntetycznych. Taka sytuacja może powodować uśpienie zainteresowań poznawczych tym gatunkiem i, skądinąd, wzbudzić naturalną wątpliwość: po co tracić czas na opisywanie jak największej liczby zjawisk literackich, ich uwarunkowań i wzajemnych powiązań, skoro to zajęcie jest takie anachroniczne?

Włodzimierz Bolecki: Ma pani rację. Na wydziałach filologicznych funkcjonują od kilkudziesięciu lat terminy wytrychy. Jednym z nich jest pojęcie „kryzysu” – przy czym oddzielam je od ważnego pojęcia z zakresu historii kultury XX wieku, w której obrębie był przez cały wiek miniony istotnym wykładnikiem świadomości filozoficznej i diagnozy cywilizacyjnej (dość przypomnieć nazwiska Husserla, Spenglera, Ortegi y Gassetta, Toynbeeego, Znanieckiego, Bierdiajewa, Szestowa i wielu innych). Jeżeli odśuniemy na bok to drugie ujęcie, a przyjrzymy się terminowi „kryzys”, z którym zapoznaje się na wstępie swojej edukacji typowy student typowego wydziału humanistycznego, to stosowanie tego terminu wytrycha okaże się wstępem do programowania jego niesamodzielności myślowej. Bo przecież, gdy nie dysponujemy własnymi narzędziami rozważenia jakiegoś problemu, najłatwiej jest mówić o kryzysie. Powtarzane tak chętnie słowo „kryzys” to określenie poznawczo jałowe, nazwa, która niczego nie tłumaczy. Powiem żartobliwie: należałoby raczej tłumaczyć studentom, że kryzys może być w naszych głowach, w naszym języku, w braku aktywności czy samodzielności intelektualnej (czasem – w lenistwie). Kryzys – jakkolwiek go rozumieć – to nieusuwalna część ludzkiej kondycji i naszego istnienia w historii. A terminem „kryzys” zastępuje się (i upraszcza), bardzo ważną w humanistyce i naukach społecznych, problematykę zmiany.

A przy okazji, skoro pyta pani o edukację uniwersytecką, to typowym zjawiskiem na wydziałach literaturoznawczych jest, moim zdaniem, zanik uczenia warsztatu. We wszystkich dyscyplinach, szczególnie w obszarze tak zwanych nauk twardych, za najistotniejszy element edukacji uważa się przekazywanie wiedzy warsztatowej. Ogromny nacisk kładzie się na umiejętność posługiwania się dostępnymi narzędziami, metodami, technikami – nawet gdyby miało się okazać, że za rok czy dwa lata będą musiały zostać wymienione na inne, skuteczniejsze i bardziej nowoczesne. Student powinien wiedzieć, jakim przedmiotem się zajmuje, jaka jest jego specyfika, przy użyciu jakich narzędzi można prowadzić badania, jaki związek może mieć zastosowanie danego narzędzia z uzyskanymi rezultatami poznawczymi etc. Tymczasem wśród literaturoznawców umiejętności warsztatowe bywają często zastępowane działaniami interpretacyjno-spekulatywnymi. Ważniejsze od narzędzi badawczych stają się więc idee, interpretacje uznawane za prawdy niepodważalne – najczęściej używane bez świadomości tego, że są tylko językami interpretacyjnymi. Z ich pomocą objaśnia się więc wszystkie teksty, jak leci, niezależnie od ich macierzystego kontekstu. Efektem takiej edukacji staje się dyskurs, w którym najmniejsze znaczenie ma przedmiot badań, jego granice, związek narzędzi badawczych z oczekiwanymi efektami poznawczymi i kontekstem historycznym. Mówiąc krótko: mam wrażenie, że świadomość warsztatowa absolwentów studiów literaturoznawczych jest dziś mniejsza niż kiedyś. Ten standard przestał się liczyć. Do tej zmiany nie doszło

z dnia na dzień. Mieliśmy do czynienia z długotrwałym procesem, ale jego omówienie sprowadziłoby naszą rozmowę na zupełnie inne tory.

Tomasz Mackiewicz: Jednym z elementów tego procesu był bez wątpienia przełom poststrukturalistyczny, chciałbym więc i o niego spytać. Z jednej strony, jak rozumiem, nie jest pan zwolennikiem „wielkiej historycznoliterackiej syntezy”. Wspomniał pan też, że konstruktywizm nauczył nas większej świadomości metodologicznej. Z drugiej strony, to właśnie na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych zaczęto mówić o kryzysie lub wręcz śmierci historii literatury. Roland Barthes stawiał wprost pytanie: *Historia czy literatura?* Jaka jest pana ocena tego okresu i jego wpływu na badania historycznoliterackie?

Włodzimierz Bolecki: Tak, tak... Ta „śmierć” historii literatury, autora, powieści, teatru, człowieka itd. to kolejny liczman – taki intelektualny *kitsch und bayer*... Przypomina mi to anegdotę zapisaną przez Czesława Miłosza w 1968 roku. Na murach uniwersytetu w Berkley pojawił się napis „Bóg umarł. Nietzsche”. Po kilku dniach ktoś dopisał: „Nietzsche umarł. Bóg”. No właśnie – Barthes umarł, a historia literatury ma się dobrze. Ale poważnie: nie używałbym tu słowa „przełom”. Jeśli ktoś za pięćdziesiąt lat będzie pisał historię intelektualną naszych czasów, to po prostu potraktuje niektóre sławne teksty jako zbiór przykładów na nasze mody intelektualne. Powiem banalnie – wszystko, co ludzkie, jest historyczne, łącznie z krytyką historyczności. Tego zmienić nie możemy, ponieważ nasze życie zanurzone zostało w historyczności, czyli w czasie, a wraz z nim wszystko, co tworzymy. Czas jest jak powietrze, którym odychamy – nie widać go, a nie sposób się bez niego obejść. W czasie zmienia się nasz sposób myślenia, rozumienia, formułowanie problemów, narzędzi, reguły akceptowalności – to wszystko podlega zmianom historycznym. Mówiąc inaczej, problemem jest to, że kwestie najbardziej oczywiste są najtrudniej dostrzegalne (powietrza nie widzimy) i rzadko stają się przedmiotem refleksji.

Być może na studiach literaturoznawczych (filologicznych) zbyt mało uwagi poświęca się refleksji nad historycznością. Nie jest to proste, ale na początek wystarczyłoby pokazać studentom filmy nakręcone, powiedzmy, piętnaście, dwadzieścia czy pięćdziesiąt lat temu, to znaczy zwrócić uwagę na różnice w ubiorze, sposobie mówienia, kadrowania, budowania dialogu, w podkładzie dźwiękowym – te różnice są przecież uderzające. Historyczność wpisana jest tu w coś, co nie zakładało uchwycenia historyczności. A wręcz przeciwnie – co polegało na odrzuceniu historyczności, co miało być wydarzeniem aktualnym. Czas jest zawsze obecny we wszystkim, co robimy i co tworzymy.

Tomasz Mackiewicz: Autorzy hollywoodzkich produkcji nie mieli przecież ambicji, by ich filmy były dokumentami swoich czasów...

Włodzimierz Bolecki: A przecież są – i to bardzo wyrazistymi! Te wielkie produkcje, których jedynym celem było opowiedzenie jakiejś wymyślonej fabuły historycznej z czasów, powiedzmy, starożytnego Rzymu, Grecji czy Egiptu, widziane przez historyka, są dzisiaj najbardziej interesujące poprzez to, co w nich zostało odcisnięte z czasów, kiedy powstawały. Ta część humanistyki, która odwraca się tyłem do historyczności

i deprecjonuje ją, produkuje kulturowych daltonistów – ludzi niezdolnych do odróżniania utworów i zjawisk ze względu na czas ich powstania. To kwestia warsztatu. Chyba każdy z nas spotkał kiedyś osoby zawodowo zajmujące się literaturą (kulturą), nawet o wysokiej pozycji zawodowej, które – niczym ślepcy – nie dostrzegają historyczności i twierdzą, że jest pojęciem niepotrzebnym, że jej nie ma lub że została nam narzucona przez jakichś ideologów. W takich sytuacjach nie ma możliwości porozumienia, bo wszystko, co ludzkie, jest historyczne, a zwłaszcza każdy wytwór człowieka – łącznie z językiem.

Tomasz Mackiewicz: Czy ten daltonizm, o którym pan wspominał, nie jest właśnie objawem kryzysu?

Włodzimierz Bolecki: Ja naprawdę uważam, że nie ma żadnego kryzysu – są zmiany. Jest faktem, że w ciągu ostatnich kilkunastu lat pojawiło się wiele wypowiedzi sprowadzających badania historyczne do zajęć archaicznych, zrozumiałych już tylko dla archiwistów. Trudno mi traktować poważnie koncepcje wieszczące kres ujęć historycznych, ponieważ wykładane w nich tezy dotyczą bardzo wąskiego obszaru obserwacji i wiążą się z modnymi sposobami uprawiania literaturoznawstwa. Jeżeli jednak spojrzymy na problem z szerszej perspektywy, (a warto to zrobić), to okaże się, że literaturoznawstwo wcale nie ma uprzywilejowanej pozycji w naukach humanistycznych (dlatego właśnie nie może stanowić jedynego punktu odniesienia w myśleniu o nauce i o kulturze). Inaczej mówiąc: badania historyczne są fundamentem, po pierwsze, badań nad dziejami człowieka, bo nie ma innej drogi poznania przeszłości niż przez badania historyczne, w których wykorzystuje się coraz bardziej nowoczesne narzędzia i coraz bardziej zaawansowane technologie, po drugie, wspomniane badania oparte są na przekraczaniu granic wąsko rozumianych dyscyplin i dziedzin. Dzisiejsze uprawianie historii opiera się na założeniu, że badania historyczne są wieloaspektowe i wielodziedzinowe, ponieważ historycy poszukujący wyjaśnienia zjawisk przeszłości może sięgać do zdobyczy różnych dziedzin, dyscyplin i technologii. Techniki badania tego, co minione, na przykład w archeologii odwołują się do wiadomości z zakresu biologii, fizyki, chemii, materiałoznawstwa, lingwistyki, socjologii, przyrodoznawstwa itd. To samo dotyczy poznawania różnych obszarów kultury. Na tym tle współczesne badania literaturoznawcze, które w sporej części koncentrują się na kwestiach o stosunkowo wąskim zakresie, czyli na przykład na problemach związanych tylko z językiem, konwencją czy interpretacją, wypadają wyjątkowo rachitycznie. Ten stan rzeczy jest znakiem czasów. Kiedyś to właśnie literaturoznawstwo było bardzo ekspansywnym i produktywnym kierunkiem, jeśli chodzi o dostarczanie narzędzi badawczych, przydatnych także innym dyscyplinom. Dzisiaj jest odwrotnie. Sformułuję rzecz dobitnie: duża część literaturoznawstwa dała się skolonizować przez obce mu języki – psychologiczne, filozoficzne, socjologiczne, antropologiczne itp.

Żaneta Nalewajk: Na podstawie tego, co pan powiedział, w niedalekiej przyszłości można spodziewać się inauguracji, a potem rozkwitu nowej gałęzi metodologii, a mianowicie badań metodologiczno-postkolonialnych, w których obiektem eksploracji stanie się literaturoznawstwo jako przedmiot skolonizowany (śmiech).

Włodzimierz Bolecki: (*śmiech*) Literaturoznawcy chętnie mówią tymi obcymi językami, ale już nie tworzą własnych i w związku z tym skazują się na używanie narzędzi zmontowanych do innych celów – co nie znaczy, że sięganie po te narzędzia jest naganne. Powinno być wręcz przeciwnie. Tylko trzeba te inne języki umieć przetłumaczyć na własny idiom. A z tym jest najczęściej beznadziejnie. W wielu wypadkach ich mechaniczne stosowanie prowadzi do tego, że potencia poznawcza historii literatury okazuje się bardzo niska. Chodzi mi o sytuacje, w których literaturoznawstwo wchłania bezrefleksyjnie modne języki opisu, a samo, pomimo tych aplikacji, nie tworzy żadnej wartości dodanej. Często przywołuję postać Michaiła Bachtina, wielkiego humanisty, który stworzył model badań powtarzany i rozwijany w ciągu dziesięcioleci przez reprezentantów wielu dyscyplin humanistycznych. Bachtin stał się ojcem badań kulturowych, intertekstualnych, do pewnego stopnia także ojcem badań kognitywistycznych ze względu na jego rozpoznanie dotyczące związku świadomości i języka, odnowił lingwistykę, badania nad komunikacją werbalną itd.

Żaneta Nalewajk: Bachtin w swoich pracach zawsze wychodził od tekstu.

Włodzimierz Bolecki: Właśnie. Bachtin zawsze wychodził od tekstu, od podmiotu, od kultury (traktowanych jako nierozłączna całość), ale przede wszystkim proponował własne, oryginalne pomysły badawcze.

Tomasz Mackiewicz: Chciałbym powrócić do wątku, który pan profesor przed chwilą zasygnalizował. Mam na myśli rozwój technik cyfrowych oraz nowych mediów i ich wpływ na nauki humanistyczne...

Włodzimierz Bolecki: Może pana rozczaruję, ale mimo że dzieli nas duża różnica wieku, to myślę, że zarówno państwo, jak i ja nie zetknęliśmy się tak naprawdę z wpływem nowych technik cyfrowych na nasz zawód. Standard wykorzystania technologii cyfrowych w polskiej humanistyce, na polskich uniwersytetach jest niemal zerowy. Nie chodzi o to, że mamy komputery i studenci podczas zajęć korzystają z internetu. Chodzi o nieobecność na polskich uczelniach wydziału tekstologii komputerowej, edytorstwa komputerowego, komputerowego przetwarzania tekstów i tak dalej. Na uniwersytetach zachodnich są to już bardzo zaawansowane dziedziny wiedzy. W Polsce natomiast dopiero raczkują. Istnieją, co prawda, nieliczne zespoły, których członkowie łączą kompetencje informatyczne, matematyczne, lingwistyczne i tekstologiczne, ale działają one na obrzeżach edukacji uniwersyteckiej.

Niestety, żeby rozwijać ten rodzaj badań i pokazać związek technologii cyfrowych z naukami humanistycznymi, potrzeba nakładów finansowych. Jesteśmy dopiero u skromnych początków takich badań. Te badania muszą prędzej czy później trafić do Polski, inaczej staniemy się zupełnym zaściankiem. Liczę, że pasje poznawcze młodych ludzi i możliwości, jakie dają teraz otwarte granice, w tym względzie coś zmienią. Tym bardziej że informatyzacja i komputeryzacja należą do priorytetów Unii Europejskiej. Na razie są one wykorzystywane głównie do zadań archiwistyczno-konserwatorskich, ale i to powinno się powoli zmieniać.

Mówiąc o wpływie nowych mediów, nie możemy zapomnieć o ich umasowieniu. To jest nowa rewolucja cywilizacyjna. Rewolucja Gutenberga zapewniła dostęp do drukowanych kopii manuskryptów, później rewolucja techniczna, dzięki stosowaniu wysokonakładowych maszyn drukarskich, spowodowała powstanie masowych obiegu czytelnicy, ale nie sposób nawet porównywać masowości książki drukowanej z dostępnością tekstów w internecie (i konsekwencji komunikacyjno-społecznych). Do tego dochodzi jeszcze interaktywność. To są zmiany skokowe. Rozwijają się w związku z tym badania o charakterze kulturowo-poznawczym, które próbują odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób technologia cyfrowa wpływa na modelowanie i na kategoryzację świata, na percepcję i procesy poznawcze. Są już prowadzone badania z zakresu psychologii i neurologii. Nasz mózg jest bardzo plastyczny, dostosowuje się do świata w zależności od bodźców, które otrzymuje. Nowe sposoby budowania przekazów w technice cyfrowej, wizualnej, a nie słownej, linearnej, przewaga systemów ciągłych nad systemami dyskretnymi, to wszystko wpływa na procesy rozumienia, kojarzenia – i to też jest obszar nowych badań.

Wszystko to pokazuje różnicę między nowoczesną humanistyką, która stara się odnaleźć w bardzo różnych obszarach, a klasycznymi studiami filologicznymi. Tu nie chodzi o przeciwstawienie, lecz o aplikację możliwości, jakie przyniosła rewolucja tak zwanych nowych mediów. Mówiąc krótko – wydziały humanistyczne polskich uniwersytetów nie są przygotowane, żeby przyjąć takie przedmioty i tę problematykę. Może to spowodować, że studenci uczelni zachodnich nie będą zainteresowani, żeby przyjeżdżać do Polski.

Tomasz Mackiewicz: A jak rozwój techniki wpłynął na warsztat historyka literatury, jego zasób pojęciowy?

Włodzimierz Bolecki: Historycy literatury uzyskali dzięki rozwojowi techniki nowe narzędzia pozwalające na większą efektywność pracy archiwistycznej: urządzenia pozwalające na utrwalanie materiałów, robienie kopii cyfrowych, gromadzenie, weryfikowanie danych i przesyłanie ich na odległość; ogromne bazy danych, sieci między bibliotekami uniwersyteckimi, repozytoria i przeszukiwarki tekstów – wszystko to tworzy potencjał warsztatowy, który pracę dzisiejszego badacza źródeł – tekstów i innych świadectw historii – nie tylko niezwykle ułatwia, lecz także podnosi poprzeczkę, implikuje większe wymagania. Dziś coraz więcej dokumentów, książek, artykułów *etc.* trafia do repozytoriów cyfrowych. Te zaś umożliwiają nowe techniki badania tekstów. Dzięki temu standardy rzetelności zawodowej znacznie wzrosły.

Żaneta Nalewajk: Wróć jeszcze na moment do przywołanego już w naszej rozmowie odczytu *Czym stała się dziś historia literatury*, w którym zwrócił pan uwagę również na to, że historia literatury utożsamiana była najczęściej z syntezą historyczno-literacką (kojarzoną z przedstawianiem esencjalnego i całościowego obrazu historii), czyli z jednym z wielu gatunków użytkowych piśmiennictwa literaturoznawczego. Inne gatunki, o których pan wspomniał, to słowniki, encyklopedie i panoramy historycznoliterackie mogące przynajmniej w założeniach prezentować inny model przekazywania wiedzy o literaturze lat minionych. Czy mógłby pan zarysować perspektywę rozwoju genologii

historycznoliterackiej oraz określić funkcje, jakie poszczególne gatunki mogłyby spełnić w gromadzeniu i przekazywaniu wiedzy?

Włodzimierz Bolecki: To temat na wykład. Rozumiem, że intencja pani pytania sprowadza się do tego, w jakich nowych gatunkach, czyli formach przekazu, może realizować się dziś refleksja historycznoliteracka?

Żaneta Nalewajk: Tak. Byłoby dobrze, gdyby zechciał pan wskazać inne gatunki wypowiedzi historycznoliterackiej, oprócz już wymienionych, choćby tylko na użytek tej rozmowy.

Włodzimierz Bolecki: Odsunę na bok kwestie związane z nowymi mediami, w których można szukać potencjalnego źródła nowych gatunków. Sama pani wskazała na gatunek, który, choć nie należy do nowych, to ma coraz większe znaczenie. To rozmowa. Rozmowa (wywiad, wypowiedź) należy dziś w badaniach historycznych, określanym mianem *oral history* (historii mówionej) do podstawowych technik warsztatowych. Oczywiście literackie wzorce tego gatunku sięgają antyku, ale dziś rozmowa pełni nowe funkcje. Istota tego gatunku w obrębie badań historycznych sprowadza się do „wytwarzania źródeł” poprzez utrwalanie wypowiedzi świadków historii. W konsekwencji przez źródło (dokument) zaczynamy rozumieć nie tylko to, co zostało odnalezione, lecz także to, co zostało intencjonalnie powołane do życia na naszych oczach. Innymi słowy, ludzka pamięć, mentalne obrazy doświadczenia i jego werbalizacje, czyli pewna sfera potencjalności, która mogłaby się nie ujawnić, gdyby nie zaaranżowana sytuacja rozmowy, stały się obszarem zainteresowań historyków. Na szeroką skalę gatunek stosowany jest w badaniach nad Holocaustem, bo żeby stworzyć empiryczną wiedzę o Zagładzie, trzeba było zapisać doświadczenia ofiar Holocaustu. Wcześniej ten typ gromadzenia dokumentów okazywał się przydatny do innych celów niż upamiętnianie Zagłady.

Współcześnie mamy do czynienia z karierą rozmów (wywiadów), których autorom towarzyszy świadomość, że tworzą dokumenty na użytek przyszłych badań. Te źródła w momencie utrwalania pełnią zaledwie funkcję informacyjną czy memuarystyczną, a czasem terapeutyczną, jednak uczestnicy takich utrwalanych rozmów mają świadomość, że być może tworzony przez nich dokument zostanie zrozumiany i zbadany przez kogoś innego – i za pomocą zupełnie innych narzędzi.

Na marginesie powiem, że we współczesnych badaniach historycznoliterackich czy – szerzej – literaturoznawczych brakuje pełnej świadomości szans, które daje literaturoznawcy możliwość poszerzenia swojego warsztatu o ten rodzaj źródeł niepisanych, niedrukowanych, jakimi są rozmowy z potencjalnymi czy faktycznymi uczestnikami komunikacji związanej z badanym zjawiskiem. Myślę nie tylko o rozmowach z autorami, lecz także z czytelnikami, wydawcami, redaktorami. W tym, co niezapisane, kryje się bowiem potencjał do utrwalenia, a zatem stworzenia mikroarchiwum danego przedmiotu i wykreowania w ten sposób nowego typu źródła. Nie ma wątpliwości, że dzięki nowym narzędziom – jedno z nich, dyktafon, leży przed nami – stało się to łatwe. Kiedyś było to prawie niemożliwe. Trzeba było szybko zapisywać, niemal zawsze pojawiały się problemy nienadążania za tokiem czyjejs wypowiedzi, zniekształcenia jej itp.

Dziś sytuacja zmieniła się radykalnie. Ten nowy typ intencjonalnie tworzonego źródła poszerza nasze możliwości badania, rozumienia, interpretowania, a nawet odkrywania określonych zagadnień, ponieważ w rozmowie pojawiają się tropy słowne, które są pasjonujące dla literaturoznawcy (językoznawcy, a także psychologa) i mogą stać się przedmiotem osobnych dociekań.

Zastrzegłem wcześniej, że w tej rozmowie nie będę rozwijał tematu gatunków multimedialnych, jednak warto uświadomić sobie ich istnienie, żeby zobaczyć, że można skorzystać w pracy historyka literatury z możliwości, jakie dają techniki cyfrowe. Nie zagłębiał się w to zagadnienie, bo to naprawdę ogromny obszar. W Stanach Zjednoczonych popularne są przecież techniki *second life* (na kilku uniwersytetach używane do edukacji), mamy też do czynienia z zapisywaniem wykładów i seminariów uniwersyteckich na serwerach, w formie DVD. W Polsce pojawił się już *e-learning*, który na razie stosowany jest do celów edukacyjnych, a przecież można go użyć w innej funkcji w procesie przekazywania wiedzy. Kilkanaście lat temu kanonem przekazywania wiadomości na uniwersytetach były wykłady – odczytywane lub wygłaszane. Dzisiaj standardem stała się prezentacja treści nauczania (przygotowana w programach typu PowerPoint). Otrzymaliśmy narzędzie, które umożliwia wizualizację, ułatwia wyjaśnianie, zapamiętywanie itp. W tym wypadku można mówić tylko o nowym medium, ale można też stwierdzić, że nowe media dają nam szansę stworzenia nowych gatunków wypowiedzi oraz utrwalania i przekazywania wiedzy na dany temat.

Tomasz Mackiewicz: Z tego, co pan mówi, wynika, że polska humanistyka nie nadąża za światowymi trendami...

Włodzimierz Bolecki: W swojej przeciętności zapewne tak. Na szczęście ambicją jednostek, na przykład młodych literaturoznawców, filozofów czy historyków sztuki jest budowanie jak najbardziej nowoczesnego warsztatu. Ich wysiłki i kompetencje warte są najwyższego uznania. Są jednak ograniczenia o charakterze systemowym. Tworzy je organizacja nauki w Polsce, na której najbardziej cierpią humaniści, gdyż humanistyka jest najbardziej międzynarodową dziedziną polskiej nauki. Tak zwane *hard sciences*, zwłaszcza te najważniejsze, są już od lat dziedzinami całkowicie międzynarodowymi. Drugim problemem jest niedoinwestowanie. Trzecim – niedocenywanie warsztatów badawczych, co, niestety, obciąża już samych humanistów, którzy przez lata lekceważyli ich znaczenie – *notabene* wraz z dwójgiem moich kolegów opublikowałem na ten temat artykuł w „Forum Akademickim” (2009 nr 5), który stał się podstawą ministerialnego Programu dla Humanistyki.

Do wszystkich tych bolączek dodać jeszcze należy niewielką mobilność polskich humanistów. O ile w naukach ścisłych warunkiem osiągnięcia czegoś w swojej dziedzinie są częste wyjazdy do zagranicznych laboratoriów i instytutów, o tyle humaniści w tym względzie mają o wiele mniejsze możliwości – rzadziej jeżdżą do zagranicznych ośrodków, żeby prowadzić badania. Są to nadal raczej indywidualne podróże (na szczęście coraz częstsze), ale nie rozwiązanie systemowe (staż zagraniczny po doktoracie powinien być obligatoryjnym warunkiem kariery naukowej). W jego braku widzę jedno z najważniejszych ograniczeń humanistyki w Polsce.

W dużej mierze z tego właśnie powodu w Polsce – podkreślam to od wielu lat – odczuwa się braki w wyposażeniu warsztatowym, które jest standardem na świecie. Mam na myśli chociażby rozmaite słowniki biograficzne, motywów, tematów, symboli *etc.*, publikacje źródeł oraz różnego rodzaju opracowania, zestawienia, encyklopedie *itd.* Ta baza naszego zawodu nie bierze się z niczego – muszą znaleźć się fundusze, powstać zespoły ludzi. Konieczne jest przekonanie, że to tego typu praca jest najdosłowniej podstawą (bazą) dla wszelkiej innej działalności w obszarze humanistyki. Tymczasem większość rozpraw, które się u nas ukazują, to rozprawy interpretacyjne – o różnej wartości. Często niewiele one wnoszą do interpretacji poprzedników, a ich nienapisanie nie zaszkodziłoby w niczym wiedzy o konkretnym zagadnieniu.

Nasze środowisko nie zawsze zadaje sobie pytanie, czy warto inwestować w konkretny typ badań. Akceptuje raczej wszystko „jak leci” (bo kogoś coś interesuje), nie zastanawiając się, czy nie można by za te pieniądze przygotować czegoś bardziej pożytecznego? Na przykład wspomniane kompendia materiałowe, które służyłyby za podstawę do badań w szerszym zakresie. Proszę zwrócić uwagę na prawidłowość – im więcej jest prac o charakterze źródłowym (tak zwanych *reference books*), tym więcej można podejmować zadań ambitniejszych, zakrojonych na szerszą skalę. Takie badania wymagają bowiem, żeby podstawowe obszary planowanej pracy były już wykonane, żeby można było się do czegoś odwołać, a nie robić wszystko od początku. Kiedy tej bazy danych brakuje, metody uczone, który przystępuje do własnych badań, nie może oprzeć się na istniejących opracowaniach, a ponieważ nie ma czasu, żeby wszystkim się samemu zajmować, to bardzo często wybiera bezpieczną pracę interpretacyjną. W ten sposób powstają projekty wystarczające do otrzymania stopnia naukowego, ale mało ambitne.

Żaneta Nalewajk: Pomimo tego, że problem był już omawiany w literaturze przedmiotu, chciałabym zapytać (z intencją ożywczego przypomnienia o sprawach zasadniczych): jak pan rozumie termin proces historycznoliteracki? Co oznacza pojęcie zmian w nim zachodzących?

Włodzimierz Bolecki: Ujmując rzecz najwięźle, proces historycznoliteracki to rekonstrukcja związków przyczynowo-skutkowych lub relacji i typów oddziaływań niekoniecznie przyczynowo-skutkowych, ale powiązanych rozmaitymi zależnościami, które historyk literatury jest w stanie skonstruować na podstawie badanego materiału. Proces historycznoliteracki to zatem i rekonstrukcja, i hipoteza interpretacyjna, która podlega weryfikacji w miarę pojawiania się nowych dokumentów. Podlega także weryfikacji jako zbiór wyjaśnień. Hipoteza procesu historycznoliterackiego jest tym bardziej wartościowa, im większy zakres zjawisk literackich ujmuje i im bardziej jest spójna. Proces historycznoliteracki powinien obejmować możliwie jak największy zbiór różnorodnych danych, powiązanych przez historyka logicznym wyjaśnieniem. Jeśli zaś chodzi o problem zmian zachodzących w tym procesie, to możemy mówić o zmianach ilościowych i jakościowych. Przez zmianę rozumiem zbiór różnic, które uda się wskazać pomiędzy podobnymi elementami życia literackiego. Im więcej takich różnic jesteśmy w stanie wyodrębnić, tym głębszą zmianę opisujemy. Trzeba też umieć wskazać istotę i znaczenie tych

zmian. Istnieją przecież zmiany banalne czy naturalne. Wykazanie istotności tych zmian wymaga trafnego uchwycenia ich konsekwencji.

Żaneta Nalewajk: Co według pana może być jednostką procesu historycznoliterackiego?

Włodzimierz Bolecki: Istnieją dwa zbiory takich jednostek. Do pierwszego należą jednostki, które sytuują się w obrębie danej dyscypliny. Są to kanoniczne kategorie uznawane przez wszystkich badaczy zajmujących się daną dziedziną wiedzy. W przypadku historii literatury nie ma wątpliwości, że takimi jednostkami mogą być teksty, ich recepcja, biografia pisarza, motywy, tematy itp. – w myśl zasady, że nauką jest to, co ludzie uprawiający ją uznają za naukę, czyli w wypadku historyków literatury te kategorie, które uznają oni za jednostki historycznoliterackie. To zbiór o charakterze warsztatowym. Nawiązując do pani pytania o zmianę, powiem, że nauka zamykająca się w tych kanonicznych kategoriach szybko umarłaby – przede wszystkim z nudów – dlatego cechą żywej nauki jest odkrywanie nowych przedmiotów badania. Ich poszukiwanie świadczy o vitalności procesu poznawczego. Dziś przekonujemy się, że jednostkami badań historycznoliterackich czy literaturoznawczych może być wszystko, co badacz literatury potrafi przedstawić jako obiekt badania. W tym sensie najważniejszym elementem badania jest... sam badacz. To właśnie on może wnieść do badań elementy najbardziej innowacyjne, stworzyć nową jednostkę procesu historycznoliterackiego i przekonać do niej innych uczonych. Chciałbym przypomnieć o sprawach z dzisiejszego punktu widzenia może oczywistych, które jednak dawniej oczywiste nie były. Współcześnie nikt już nie kwestionuje tego, że przedmiotem badania mogą być na przykład kategorie pojęciowo-antropologiczne, takie jak ciało czy ból, rozumiane nie jako motywy literackie, ale jako obszar łączący dzieła z realnym życiem ich autorów. Jednostkami procesu historycznoliterackiego mogą stać się kategorie istniejące wcześniej jedynie na jego marginesach, uchodzące za rodzaj egzotyki, jak choćby domy artystów. Historycy sztuki chętnie zajmują się nimi – traktują je jako dzieła sztuki oraz ważne źródło informacji o ich twórcy. Jednostką historycznoliteracką może być także biblioteka pisarza i jego lektury oraz wszystkie te zagadnienia, które historyk literatury potrafi przedstawić jako sensotwórcze i sensonośne. Innymi słowy, za jednostkę historycznoliteracką może być uznane wszystko, w czym badacz potrafi wykazać zagęszczenie sensu wyjaśniające coś więcej niż tylko ten jeden badany element. Sam przed laty wskazywałem, że takimi jednostkami mogą być nawet modalności językowe, tekstowe czy kulturowe.

Tomasz Mackiewicz: Podsumujmy, panie profesorze – czy mamy do czynienia z kryzysem historii literatury?

Włodzimierz Bolecki: Mamy do czynienia ze zmianami. Kryzys jest natomiast naturalnym składnikiem historii ludzkości, od kiedy nasi rodzice, Adam i Ewa, zostali wygnani z raju (*śmiej*). To także stały składnik naszej sytuacji poznawczej. Rzecz ma się dokładnie tak, jak z jazdą samochodem – można by powiedzieć, że kierowca ciągle przeżywa jakieś „kryzysy”, bo musi skręcać, hamować, omijać, stawać, a nie po prostu jechać cały czas prosto z maksymalną prędkością.

Tomasz Mackiewicz: Spytam więc inaczej. Czy powtórzyłby pan to, co czterdzieści lat temu napisał Kazimierz Wyki – że tradycja i historia to „węgiel naszego zawodu”?

Włodzimierz Bolecki: Hm... Choć wielokrotnie przywoływałem to znakomite określenie Wyki, to teraz zastanawiam się nad źródłem jego metafory... Biorąc rzecz kognitywistycznie – chodzi w niej o wydobywanie węgla jako czegoś niezwykle cennego, co pozostaje ukryte i stanowi podstawę gospodarki. W tym sensie nie powtórzyłbym dosłownie tego stwierdzenia. Natomiast przeformułowałbym je w następujący sposób: historyczność to najbardziej naturalny, elementarny wymiar istnienia wytworów ludzkich i w tym znaczeniu jest podstawowym wyzwaniem poznawczym dla każdego humanisty.

Tomasz Mackiewicz, Żaneta Nalewajk: Dziękujemy panu za rozmowę.

Włodzimierz Bolecki: To ja państwu dziękuję.



Łukasz Zedlewski, *Barok*